Rok III. Katowice, Niedziela, 4-go Wieśnia 1904 r. Nr. 35

Rodzina chrześciańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka“ i „Straży nad Odrą“.

Na niedzielę XV po Zielonych Świątkach

Ewangelia u św. Łukasza,

w rozdziale VII.

Onego czasu: Szedł Jezus do miasta, które zowią Naim: a z nim szli Uczniowie Jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego syna jedynego matki jego, a ta była wdową: a rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrzawszy Pan, ulitował się nad nią i rzekł jej: Nie płacz! I przystąpił, i dotknął się mar. (A ci, co nieśli, stanęli). I rzekł: Młodzieńcze! tobie mówię, wstań. I usiadł on, który był umarły, i począł mówić. I dał go matce jego. I zdjął wszystkich strach, i wielbili Boga, mówiąc: Ze Prorok wielki powstał między nami, a iż Bóg nawiedził lud swój.

Święty Augustyn,

biskup i nauczyciel Kościoła.

Aureliusz Augustyn urodził się roku 354 w Tagaście w Afryce. Ojciec jego Patrycyusz był poganinem, matka święta Monika. Od swojej matki otrzymał chrześciańskie i sumienne wychowanie, lecz chrztu nie otrzymał. Według woli ojca swego przyłożył się z gorliwością do nauk i stał się nauczycielem wymowy. Mimo tego wpadł w życie rozpustne, nad czem matka jego bardzo ubolewała. Nie przestała modlić się za niego, aż ją Pan Bóg wysłuchał. Augustyn bawił w Medyolanie i przychodził z ciekawości do Kościoła, aby słuchać sławnego kaznodzieję świętego Ambrożego. Czytał też Pismo św. i wzruszony postanowił przyjąć chrzest. Święty Ambroży ochrzcił go i odtąd poświęcił swe nauki i całe życie służbie Kościoła. Liczył 33 lat, gdy się nawrócił. Potem opuścił Włochy i powrócił do swej ojczyzny, gdzie w mieście Hippo objął urząd biskupa.

Augustyn umarł roku 430. Jest on jeden z największych doktorów lub nauczycieli Kościoła, który nieprzestannie bronił wiary świętej i pogromił licznych kacerzy.

Z kraju tysiąca jezior.

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi.)

Skreślił Stanisław Bełza.)

(Ciąg dalszy.)

I Nisslot jest nie czem innem.

Rozpostarł się on wdzięcznie nad wodą, ale ściśle biorąc, bez przesady możnaby powiedzieć, że leży na wodzie. Gdzie się bo zwrócisz, masz wodę przed sobą, tu jako wydłużoną wązką rzekę, tam jako łamiącą się niemożliwemi liniami zatokę, ówdzie wreszcie jako staw, i jeśli pragniesz dokładnie to miasto obejrzeć, musisz mieć koniecznie to rozporządzenia swego dwa środki lokomocyi: łódkę i wóz, gdyż jedno w zupełności tu nie wystarcza.

Wychodzisz z hotelu, gdzie zamówiłeś konie na Punka-Harju, z zamiarem przyjrzenia się ludziom i rzeczom, i zaledwie ujdziesz kilka staj, zniewolony jesteś zboczyć z prostej drogi, gdyż na przeszkodzie staje ci kanał. Wymijasz go, natrafiasz na jezioro, oddalasz się od niego i spotkasz się znów z zatoką. I tak dalej i tak ciągle, woda i ląd, ląd i woda, i to na przestrzeni stosunkowo nie wielkiej, bodaj czy nie mniejszej nawet, od Saskiej Kępy pod Warszawą.

Nisslot jest miasteczkiem fińskiem, i pod tą nazwą mało jest nawet znanym w całem wewnętrzu Finlandyi. Jest to nazwa narzucona mu przez Szwedów, Finnowie jednak nazywają go: Sawonlinna. Dzięki temu, że Finlandyę zaludniają dwa szczepy: szwedzki i fiński, które długi czas wyłączały się wzajemnie, zanim dopiero w ostatnich latach zeszły się na polu wspólnej pracy, nietylko Nisslot posiada dwie nazwy, wszystkie niemal znaczniejsze miasta i osady w tym kraju, ochrzczone są w dwojaki sposób.

Dla osobliwości, bo z osobliwością podobną nie wszędzie się spotykamy, przytoczymy parę przykładów.

I tak: Helsingfors, Finnowie nazywają Helsinki, Wyborg, — Wiipuri, Willmanstrand, — Lappeenranta, historyczne Borga, — Porwoo, Biörneborg, — Pori, a Abo, — Turku. A choć Europa cała zna tylko nazwy pierwsze, jako nadane im przez Szwedów i językowo jej bliższe, przecież w Finlandyi, zwłaszcza też w fińskiem jej wnętrzu, nazwy drugie są w wyłącznem u ludu użyciu. Co więcej, szwedzkie nie są nawet ludowi temu znane, o czem nic nie wiedząc, a mając zamiar jechać do St. Michael, napróżno ten wyraz powtarzałem kilkakrotnie dobro-

dusznemu właścicielowi jednokonnej koryoli w Nisslot, póki nie dowiedziałem się ze słownika, że miasto to w języku ojczystym tego człowieka, nazywa się Mikkeli.

Nisslot jest stolicą Sawolaksu, jednej z najciekawszych, najoświeceńszych, i najpiękniejszych prowincyi finlandzkich.

Savon, albo Savonmaa, zwąc się po fińsku, prowincya ta kształtem swym gruszkę przypomina, a rozciąga się na przestrzeni 300 kilometrów wzdłuż, i 180 wszerz. Jest ona ciekawą z tego względu, że w jej granicach pomieszanie dwóch żywiołów doszło do takiego stopnia, iż rzeczywiście dokładnie nie wiadomo, do czego ona właściwie należy, do wody czy do lądu.

Będąc odepchniętą na wschód i zatopioną mnóstwem jezior, prowincya ta dłużej od każdej innej cieszyła się niezależnością, dłużej od innych opierała się Szwedom. Charakter też zamieszkującego ją ludu, odznacza się większą godnością, a jego pewność siebie weszła nawet w przysłowie. Odważny i przedsiębiorczy, jest lud ten jednocześnie oświeconym i zamożnym, i w barakowej chacie niejednego z tutejszych włościan spotkać się można z takim nawet zbytkiem, jakiego darmo byś szukał po naszych nadwiślańskich dworkach szlacheckich.

Położony na granicy dwóch północnych potencyi — Sawolaks od najdawniejszych czasów był dla nich jabłkiem niezgody. To też Szwecya wcześnie o zabezpieczeniu go myślała. I gdy w roku 1475, za sprawą Eryka Totta w stolicy tej prowincyi w Nisslot, dźwignęła obronny zamek, zdawało jej się, że o kamienne jego mury wiecznie rozbijać się będą usiłowania, mające na celu oderwanie od niej tych stron. Myślała błędnie, skamieniałe mury pozostały, są bodaj nawet dziś twardszemi od tych, jakie przed wiekami tu wznosiła, a tymczasem ani Sawolaks, ani Nisslot, nie uznają dziś jej już za swoją panią.

Potok politycznej konieczności, zmiótł jak pył z drogi przeszkodę, uważaną za niezwalczoną, i płynie ciągle urągając dawnych mężów stanu wyrachowaniom, pewnością swoją, przypominającym trwałość dziecinnych domków z kart.

Podróżny w Nisslot nie zatrzymuje się długo. Na zobaczenie miasta i zamku przy pospiechu wystarcza godzina, czas, jaki statek idący dalej na północ przystaje w tej miejscowości, kto jednak chce zobaczyć Punka-Harju, ten musi pozostać tu dłużej, i oczekiwać jeśli dalej jeziorem jechać pragnie, nadejścia następnej okazyi. Tak ja czynię, postanowiwszy dla rozejrzenia się po okolicy, zabawić tu dwa dni.

Bawiąc w Nisslot, robię obserwacyę, że gdy w Wyborgu i na całem morskiem wybrzeżu bez znajomości języka fińskiego, obejść się doskonale można, każdy bowiem niemal z ludzi średniego stanu, nietylko że rozumie tam główniejsze języki europejskie, ale nawet mówi niektóremi z nich znośnie, tu koniecznie władać trzeba przynajmniej jaką taką fińszczyzną, inaczej bowiem można się znaleźć w wielkim kłopocie.

Z dwóch dróg na Punka-Harju, wodnej i lądowej, wybrałem drugą, pragnąłem bowiem nie z łupiny, że się tak wyrażę, ale z jądra, poznać prowadzący do tej miejscowości kraj. Wybrawszy tę drogę, postanowiłem starać się o konie, i tu właśnie spotkałem się z językową trudnością oko w oko. Właścicielka mego hotelu, gdym jej po angielsku serce roztworzył, wskazywała mi ciągle na wodę, dając tem do zrozumienia, jak się dowiedziałem o tem później, że tą drogą najprędzej się na Punka-Harju można dostać, i musiałem aż z rozpaczy chwycić za ołówek i papier i narysować na nim karykaturę głowy konia, aby mnie nareszcie zrozumiała, i z wybuchami śmiechu sprowadziła to, czego chciałem.

Finlandya dokąd jest krajem mało w Europie znanym, dwie miejscowości jej przecież cieszą się szerokim rozgłosem.

Miejscowościami temi, są Imatra i Punka-Harju.

Przed wykopaniem kanału sajmańskiego i połączeniem linią kolei, Wyborga i Helsingforsu z Sajmą, obie te miejscowości zachwycały już liczne koła ciekawych na... obrazkach, dziś dzięki ułatwionym środkom komunikacyjnym, zachwycają ich w naturze.

Zaciekawieniu też temu zawdzięczamy, że wita nas w każdej z nich ten komfort, bez którego podróżnik europejski obejść się nigdzie nie może. I przy Imatrze i na Punka-Harju znajdziesz hotele porządne i wygodne; i tu i tam nie doświadczasz prywacyi żadnych; i tu i tam czujesz, że jesteś w cywilizowanym świecie, choć masz przed oczyma dzikie obrazy, jakiemi świat ten gdzieniegdzie tylko widza darzy.

Istotnie dzikie. O Imatrze pisaliśmy szeroko, czas wielki udać się na Punka-Harju, by grozę, jaką tam mieliśmy, uzupełnić widokiem czegoś, choć wcale nie groźnego, przecież stwarzającego w duszy naszej wrażenie, takiego jak wobec grozy osłupienia.

Punka-Harju jest wyspą, ale pewno nigdzie żadna wyspa kształtów podobnych nie przedstawia. Kształt to wydłużonej wązkiej linii, z boków której odcinają się szersze kępy. I linia ta i te kępy, rzucone są na tło otwartej wody i z lotu ptaka lub na mapie, obraz dają szybującego w powietrzu ptaka. Coś podobnego spotyka się w Wyborgu, tylko że ziemna figura sąsiadującej z tem miastem okolicy jest bez porównania szerszą, i o sto procent mniej malowniczą. Ocenimy to gdy się tam znajdziemy, a tymczasem wsiadajmy na dwukonną karyolę, i jedźmy.

Karyola finlandzka jest wehikułem, z jakim się każdy zapoznać dokładnie musi, kto zalazłszy się w tym kraju, chce uważnie mu się przyjrzeć. Jest to coś w rodzaju naszej bidki, tylko że ta ostatnia przypomina ją nieco nie w tem, co ma dobrego, tylko w niewygodnem i brzydkiem. Dwa koła jak u nas, ale resory wygodne są, ale siedzenie jak na szlacheckiej bryczce. Źle mówię siedzenie, na karyoli są bowiem dwa siedzenia, i gdy usadowisz się na jednem z nich, masz przed sobą lub poza sobą małego chłopca, który w drodze konia dogląda, po podróży odprowadza go do domu.

Bawiąc szereg lat temu w Norwegii, w karyoli takiej przerzynaliśmy długie górskie przestrzenie, przypomniała nam ona znowu ten tak odmienny od Finlandyi kraj, a wraz z tym krajem, przed oczyma duszy przesunęła, ach, ileż wspomnień, na myśl, o których boleść serce przejmuje...

Czemuż to czemuż, najobojętniejszy nieraz przedmiot, z pod lat, cierpień i zawodów człowieka, w przyszłości jego nieproszony odgrzebuje gorycz wchłoniętego niegdyś w duszę piołunu?

Jest doprawdy na co tu patrzeć.

Hotel, w którym noc spędziliśmy: »Kestikiveri« co znaczy: »Zajazd pocztowy«, leży jak wszystko w tem mieście niedaleko jeziora; jedziemy więc zrazu niedługo lądem, poczem usadowieni na karyoli, promem przeprawiamy się na drugą stronę wody, i od towarzyszącego nam wyrostka dowiadujemy się z trudnością, że trzy godziny czasu oddzielają nas od następnej przeprawy. Możemy więc dowoli rozkoszować się naturą Sawolaksu, czynić w przelocie

spostrzeżenia, głębszego interesu nie pozbawione, wzbogacać skarbnicę wrażeń odczutych w życiu, jednemi z najoryginalniejszych i najsłodszych.

Na papier wrażenia te przelać doprawdy niełatwo. Odbijają się one silnie w duszy, ale i przylegają tak silnie do niej, iż oderwać ich dla udzielenia innym niepodobna. Trzeba tu być, myśleć i czuć, trzeba zlać się w jedną całość z tym dzikim światem, który się przerzyna w milczeniu, wchłonąć go w siebie i wzajemnie się w nim rozpłynąć. Ale kiedy się z nim rozpłynąć. Ale kiedy się z niego wydostanie, opowiadać o nim trudno. Czemu tak? Bo będąc odrębnym od innych oglądanych już przez nas światów, nie posiada on konturów zarysowujących się w nas tak silnie, jak naprzykład świat niebotycznych, bo piękno jego spoczywa nie w grozie lub majestacie, ale w poezyi, jaka się nad nim w atmosferze unosi.

Otóż gdy majestat i groza natury, w słownem w prozie, czy obrazowem na płonie odtworzeniu, przedstawić się jako tako dają, poezya wlewająca w nią żywą duszę, nie, — i dlatego, wiecznie blademi pozostaną opisy i widoki wszystkich Holmbergów, Biudholmów i Munsterhielmów, którzy rozkochani w przyrodzie ojczyzny swojej, z bezsprzecznym talentem pokusili się o jej reprodukcyę.

Dali światu ciało ponętne, niekiedy nawet wspaniałe, nie uwięzili przecież w tworach swych tego, co ciału temu czar nadziemski udziela. I jedna już tylko poezya byłaby w stanie cudu tego dokonać, ale w tym małoludnym, dzikim Sawolaksie, czas na nią jeszcze nie przyszedł.

Drzemie tu ona zaklęta w każdej skale przydrożnej, w zagajniku każdym, nad brzegami każdego trzęsawiska, nie przetopiła się przecież jeszcze w żywe słowo. I kto tu wypadkiem się znajdzie, zarywa zawsze coś z niej i zabiera w inny świat z sobą, ale kiedyś dopiero, kiedyś, złoży się z tych uniesionych stąd jej okruszyn żywa całość, godna w wiązanej mowie odtwarzać rzeczywistość.

Kto z tych, którzy przebiegnęli w życiu te strony, nie pragnie, by czas ten jak najprędzej nastąpił?

Jak w ogóle cały Suwolaks, tak i ta okolica z Nisslotu do Punka-Harju, jest małoludna i dzika. Jest to jedna, długa, leśna puszcza.

Na przestrzeni trzygodzinnej drogi spotyka się gdzieniegdzie tylko grupy chat, przysiadłe do siebie i coś w rodzaju wsi składające.

Chaty te, jak wszystkie w całym tym kraju drewniane i drzewem kryte, na oko przedstawiają się dość ubogo, choć wewnątrz posiadają komnaty wygodne, i urządzone nawet z pewnym komfortem. Od mieszkańców północnych części Finlandyi, chłop Sawolaksu tem się wyróżnia, że w domu swoim musi mieć wygody, jakie cywilizacya z sobą przynosi. Zrósł się on z niemi i żyć bez nich nie może.

W chatach, jakie w drodze na Punka-Harju przesuwają nam się przed oczyma, mieszka ludność przeważnie z rybołóstwa, myślistwa, hodowli bydła i handlu drzewem utrzymująca się, rolnictwo przecież uprawia ona tylko gdzieniegdzie, warunki bowiem gleby, kulturę rolną na drugi plan tu sprowadzają.

Co uderza, gdy się kulturze tej tam, gdzie ona jest, przygląda?

Oto, że każde najmniejsze pole odgrodzone jest od sąsiedniego drewnianym płotem. Drzewa tu dosyć, więc się go na płot nie żałuje, a ziemi urodzajnej mało, więc się ją znowu szczelnie dla siebie zamyka, by ktoś obcy po jej skarby łakomie wyciągał.

Skarby!... jęczmień karłowaty i rzadki, łany naszego żyta na piasku przypominający, tofel ze spaloną popielatą łodygą, która zaledwie unosi się nad ziemią... Jakiemż to wszystko bogactwem jednak dla mieszkańców tych stron być musi, skoro się tego z uderzającą troskliwością, niby oka w głowie strzeże?

Ale oto dojechaliśmy już do krańca lądowej drogi. O piątej rano wyruszyliśmy z naszego hotelu, jest teraz ósma, i jesteśmy u progów Punka Harju. Karyola staje, koń znużony ciągnie powoli szczypać trawę w lesie, a mój woźnica młody klaszcza w ręce, by sprowadzić przewoźnika na drugą stronę wody. Hałas osiąga pożądany skutek, z ubogiej chaty wychodzi dwóch starych Finnów, ściągają odemnie 10 pennia, i za chwilę odbijamy od brzegu.

Przeprawiam się na drugą stronę jeziora w łodzi i doprawdy nie wiem, czemu się mam uważniej przyglądać: naturze, czy ludziom.

Natura, na tym przesmyku wodnym, będącym progiem Punka-Harju, z rozrzutnością nieopatrznego marnotrawcy rozpościera dokoło swoje skarby i z zadrzewionych wysp porzuconych bezładnie na wodzie tworzy krajobrazy wspaniałe. A że do rozporządzenia swego ma tu ona niewiele: wodę i drzewo, przeto widzi się wyraźnie, z jaką czarodziejką ma się w tem miejscu do czynienia, i jakie to potężne efekta słabemi nawet środkami wywoływać się niekiedy dają.

Prawda, że ziemi przychodzi w tem z pomocą niebo, że zalewające lądy i wody, jasne promienie słońca, wszystko zabarwiając po swojemu, wszystkiego wdzięk podnoszą, ale prawda i to, że gdyby nie dziwna konfiguracya potarganego jak koronka terenu, składowe jego części nie byłyby w możności złożyć takiej jak tu, jedynej w swoim rodzaju, całości. Tylko w Finlandyi (powtórzmy to poraz już nie wiemy który) coś podobnego daje się widzieć, tylko bo w Finlandyi, dwa najważniejsze świata żywioły żyją jeszcze dotąd w rozprzężeniu i roztercе, i nieokiełznane silną wolą, biegną ku sobie i wzajemnie się od siebie odpychają.

Ale i ludzie ciekawi.

Mam ich tu w osobach dwóch przewoźników, i często zatrzymuję na niech wzrok. Są to typowe okazy Finnów, nieco odmienne od tych, jakim się gdzieindziej napatrzyłem.

Nizkiego wzrostu, muskularni i barczyści, są oni istotnemi dziećmi lasu i wody. Nad ich kolebką szumiały liście i iglice drzew poruszanych zimnym wiatrem północy, życie ich spłonęło w pełnych trzęsawisk gąszczach boru, zdala od miast i wielkoświatowego ruchu, a ich chleb codzienny, to ruch wiosłem od wschodu do zachodu słońca na wodzie.

Niech nikt nie sądzi, by zajęcie to było łatwem i od niebezpieczeństwa wolnem. Sajma jest spokojna w dnie ciszy, ale dni takich stosunkowo w Finlandyi niewiele. Gdy wiatr północno-wschodni zawieje, burzy się ona i bałwani niby morze, i wtedy trzeba wielkiej przytomności i trudu, by oprzeć się rozhukanym jej falom.

Ta ciągła walka z żywiołem niesfornym, przy uwadze na to, że do walki z nim ludzie tu są zaopatrzeni w nader niedostateczne narzędzia, (obserwuję to przyglądając się drobnym moich przewoźników łodziom, i kruchym ich wiosłom), sprawia, że wyrobiły się w nich przymioty, napotykane jedynie u pracowników morza. Więc odwaga granicząca z zuchwalstwem, więc siła woli i zimna krew.

dusznee mogąc z nimi rozmawiać, patrzę na nich póki ne, i przymioty te znajduję wyryte na ich twa- w języ Nie ich tylko są one cechą, każdy Karelczyk Mikłeszkujący Sawolaks jest tych przymiotów żywem uosobieniem, i typy takie, z jakiemi odbywam tę drogę, są ogólnym typem całej prowincyi.

Ogólnym i znanym po za jej granicami, dzięki chociażby obrazom Edelfelda, które Dujardin w Paryżu w pięknych heliograwiurach rozpowszechnił po świecie. W chwili, kiedy te wspomnienia spisuję, mam właśnie jeden taki obraz przed sobą i spoglądając na dwie znajdujące się na nim w łódce postacie, mężczyzny i kobiety, gnanych wiatrem po wodzie rozszalałej, w pełnych energii i nieustraszonej odwagi ich twarzach, upatruję wielkie podobieństwo do twarzy ludzi, dzięki którym perłę Sawolaksu widziałem. (Ciąg dalszy nastąpi).



Przechadzka po polach.

Kilka uwag o głównych wadach w gospodarstwach włościańskich

napisał **Jerzy Turnau.**

(Dokończenie).

Gnojarnia musi być założona na miejscu zupełnie równem, i otoczyć ją należy wałem z gliniastej ziemi, który ma chronić przed napływem obcej wody. Na wale tym należy zasadzić szybko rosnące drzewa, których cień ma chronić gnój przed zbytniem wysychaniem. Spód gnojarni winien być nieprzepuszczalny — a więc gliniasty. Jeżeli więc z natury taki nie jest, w takim razie należy ziemię przepuszczalną wybrać, na to miejsce zaś nawieźć jałowej gliny, ubijając ją silnie, jak tok na stodole.

Gnojarnia ma mieć kształt głębokiego talerza, w którego najgłębszem miejscu wykopuje się studzienkę na gnojówkę 1—1½ m. głęboką, ocembrowaną sośniną, nakrytą wiekiem z desek, szczelnie do siebie przystających. Gnój należy codziennie równo rozciągać na całej gnojarni, silnie udeptać lub tratować końmi, a w suchej porze codziennie polewać gnojówką i codziennie posypywać bodaj cienką warstwą ziemi. Jeżeli gospodarz posiada, lub może gdzieś w pobliżu nabyć torf, to ten szczególnie nadaje się do posypywania nim obornika na gnojarni — a gnój zmieszany z torfem ma znacznie wyższą wartość nawozową. Włościanie wiedzą o tem, że przekładanie nawozu ziemią, doskonale go konserwuje, — lecz nie czynią tego, tłomacząc się, że nie mają skąd brać tej ziemi. Ale ile to nieraz widzimy niepotrzebnych pagórków na dziedzińcu, przed chałupami, które przez kilka lat zbierając po trosze, i uzyskaną ziemią posypując obornik, miałoby się i gnój, a co za tem idzie i urodzaj lepszy, a dzieciaki nie zbijałyby sobie nosów, potykając się na nierównem, pagórkowatem podwórzu. Zresztą można przekładać gnój błotem z gościńca, które drożnicy kilka razy do roku zgartują na kupki, na brzeg gościńca.

Obornik, starannie na gnojarni przechowany wybornie sprawi nam glebę, ale tylko wtedy, jeżeli przy wywożeniu go w pole nie popełnimy błędów. Niestety jednak i pod tym względem włościanie często błądzą! Gnój wywożony bywa w pole, złożony w kupki, dymiące i zatruwające powietrze, i w tych kupkach nieraz leży i kilka tygodni. Deszcze wypłukują nawóz w kupkach tak, że gdy przyjdzie do rozrzucania, to to, co się rozrzuca, nie jest niczem innem, jak zbutwiałą, wilgotną słomą, zaś cały sok, bogaty w pożywienie roślinne, wsiąknął w rolę na tej tylko przestrzeni, którą zajmowała kupka. W kilka miesięcy potem, podczas rozwijania się zboża, całe pole jest srokate: gdzie leżała kupka nawozu, tam są ciemno-zielone, aż niebieskie place — i tam zboże wylega, nie wydając ziarna — zaś reszta pola pokryta jest żółtawemi, chudemi roślinami, które muszą żyć tylko z tej wyługowanej przez deszcze słomy. Co do natychmiastowego rozrzucania obornika, to nie można u nas gospodarstw dworskich jako przykładu postawić; i tam niekiedy czernieją długo na polu nierozrzucone kupki. W większych gospodarstwach dzieje się to zwykle wskutek braku robotnika, szczególnie w jesieni, gdy tyle rąk potrzeba do kopania ziemniaków i buraków. Ale w gospodarstwach włościańskich, gdzie gospodarz sam i jego rodzina w kilku godzinach mogą tę robotę wykonać — pozostawianie gnoju w kupkach jest nie do darowania. Więcej, daleko więcej stracisz na tem, jeżeli nawóz przez jednę noc w kupkach przez ulewny deszcz wypłukany zostanie — aniżeli gdyby ci zboże na pomieci trzy dni mokło. Zboże przewrócisz, przesuszysz i jednak chleb z niego mieć będziesz; ale ziemi nie wolno bezkarnie oszukiwać, i zamiast jednostajnym nawozem — wyługowaną słomą nawozić, a jedno pozostawienie gnoju w kupkach na obfitym deszczu mści się potem przez kilka lat.

Po rozrzuceniu nawozu na roli już żadnych większych strat co do wartości tegoż ponieść nie możemy — chyba, że pole jest bardzo pochyłe — a w takim razie należy obornik zaraz przyorać, aby spadająca po pochyłości woda deszczowa nie wypłukała z gnoju najcenniejszych jego składników, niosąc je na dół, do rowu, lub na sąsiednie pole.

Dużo by jeszcze można wskazać błędów, które włościanie popełniają przy uprawie zbóż i okopowizn. Nie chcąc jednak nadużyć cierpliwości czytelników, wspominamy tylko o uprawie ziemniaków, tej najważniejszej rośliny, gdyż jest ona głównem pożywieniem naszej ludności.

Włościanie przy uprawie ziemniaków popełniają niemal powszechnie ten błąd, że sadzą je gęsto, i ślepi są na przykład gospodarstw dworskich, które od gęstego sadzenia ziemniaków coraz więcej odstępują. Dlaczego? przecież widzą, że na polach dworskich pod jednym krzakiem bywa 15—20 a w urodzajnych latach i odpowiedniej uprawie i 30 dorodnych ziemniaków — zaś u nich, przy gęstem sadzeniu znajdziesz pod krzakiem co najwyżej 10—12 i to do tego drobniutkich, mizernych kulek. Dlaczego? Oto pochodzi to z bezrozumnej oszczędności. Włościanie nie sadzą nigdy ziemniaków — lecz kawałki ziemniaków, a bardzo często same tylko »oka«. O ile krajanie ziemniaków do sadzenia na pół nie wpływa jeszcze ujemnie na plon, o tyle dalsze dzielenie prowadzi do coraz większego obniżenia tegoż. Ten i ów gospodarz może próbował sadzić ziemniaki w dalszych odstępach, »po dworsku«, ale znowu nie posadził ziemniaków, tylko może jakąś czwartą część ziemniaka, poczem wydatek plonu był jeszcze gorszy, aniżeli przy gęstem sadzeniu — powrócił więc do starego sposobu. Kto zjada ziemniaki przeznaczone do sadzenia, a wysadza tylko »oka«, ten taką samą szkodę sobie robi, jak ten, który dobrą krowę cielną doi aż do samego ocielenia. Potem i krowa nie ma mleka, a cielę rodzi się chude, słabe i często po

kilku dniach zdycha. Zamiast sadzić »oka« z ziemniaków w odległościach ½ stopy wzdłuż a jednę stopę wszesz, posadź bracie ziemninki — ale całe, lub conajwyżej przez pół (wzdłuż) przekrajane, w odległościach 1 stopę wzdłuż a dwie stopy wszerz. Na tem nic a nic nie stracisz — bo wyjdzie ci ta sama ilość ziemniaków do sadzenia — a bądź przekonany, że plon będziesz miał daleko wyższy. Odstępy, w jakich mają być sadzone ziemniaki, stosują się do jakości i siły nawozowej gleby i nie da się tu postawić ścisła reguła; pouczyć nas o tem mogą tylko próby. Powtarzamy jednak z niciskiem, że sadzenie kawałeczków z ziemniaków tak gęsto, jak to dotychczas przeważnie czynią włościanie, jest stanowczo wadliwie. W glebach bogatszych i dobrze nawożonych zalecić można sadzenie w t. zw. »kupki«. W tym celu po zabronieniu znaczy się pole znacznikiem (drewnianym), którego zęby odległe są od siebie o 46—56 cm. (stosownie do urodzajności gleby) w kratkę, tj. wzdłuż i poprzek; w miejscach, gdzie się znaki krzyżują, robi się kopaczką dołek 8—10 cm. głęboki, wrzuca weń ziemniak, przykrywa ziemią i zadeptuje nogą. W ten sposób posadzone ziemniaki o wiele łatwiej jest opielać i odkopywać i bardzo łatwo wykopywać w jesieni. Wystarczy bowiem jednokrotne opielenie ręczną motyką, następnie można już tylko konnym plewnikiem spulchniać i podsypywać a wreszcie znowu motyką w około każdy krzak podgarnąć. Przy kopaniu ziemniaków posadzonych w »kubki« oszczędza się wiele roboty, kopanie idzie wtedy łatwo i szybko, gdyż po wyrwaniu badyla wraz z częścią ziemniaków rozkopuje się jednem uderzeniem motyki całą kupkę i wydobywa ziemniaki — i nie potrzeba szukać i grzebać na oślep, kalecząc ziemniaki, jak to się dzieje przy zwykłem sadzeniu ziemniakóm pod pług.

Na tem kończymy szereg uwag, które nam się nasunęły wśród przechadzki po polach i zagrodach włościańskich.



W górach.

Po jasnych, złotych łąkach hal,
Chodzą nieznane dźwięki,
A w nich drży śmiech, tęsknota, żal,
Westchnienia cisze jęki.

A czasem gdzieś zbłąkany dzwon
Z pasących trzód się stada,
W ciszę srebrzysty rzuca ton
I w echo z rosą pada.

A wyżej, kędy szczyty gór
Potężne, wielkie, dumne,
Tam po nad niemi ptaków sznur
Uderza w skrzydła szumne.

Wiatr chodzi, gór i pustyń król
I cisza gór królowa,
Tam, niosą echa z łąk i z pól
Zbłąkanych piosnek słowa.



Bóg się rodzi.

Bardzo dawno, przed wieki, kiedy borów nie burzył jeszcze wicher, gdyż w zwartą głuszę wedrzeć się nie zdołał a jego gromy ryczały nad pomostem drzew, na piaskach, wyrugowanych przez okresy burzliwych mórz, porosły lasy, rozmnożyła się zwierzyna, w mieliznach wyikrzyła wszelaka ryba, z dalekiej ojczyzny, przybyłe plemie ludzi znalazło w takiej ziemi dla siebie schronienie.

Wschód słońca, ozłacał ponure siedziby i budził mieszkańców puszcz do pracy nad uganianiem się za zwierzyną lub połowem ryb, które przedewszystkiem wraz z grzybami i miodem leśnym stanowiły ich pożywienie.

O ile wschód słońca budził życie, to znowu zachody słońc — mrok nieprzebytych borów, opary błot, wichry jesieni, głucha cisza, sprowadzały na mieszkańców pewien rodzaj bezbrzeżnej zadumy, i tęsknoty do dalekiej ojczyzny. To też z pokolenia na pokolenie urobiła się dusza ich tęskna i rzewna jak te nie przebyte lasy i równiny, co budziły świty, zamraczały wieczory, a pełne niewygód samotne życie urobiło ich serca do marzeń, wybujałych tajemniczych jak mrok, fantastycznych jak mgła powstająca z szerokich rzek i strumieni, a unosząca się nad wodami borów niby dusza tej krainy.

Spławnemi rzekami zapuszczali się do nich kupcy plemion osiadłych nad rzekami Śródziemnego morza, później Grecy, i Rzymianie — uczyli wartości bursztynu i zbóż, a opowiadania ich o dziwach nieznanych krain szły z osady do osady, jak echo wnikały w głębię nieprzebytych lasów, jak światło błysnęły po lustrzanych jej wodach.

Czasem jaka horda biegiem wodnego traktu, oderwana od swych siedzib, a żądna przygód i łupu, zawitała jak huragan, a nie znalazłszy żadnych bogactw, dążyła hen, ku zachodowi, do miast ludnych podsycających żądzę wędrownych łupieżców.

Ani związki dorywcze z napastnikami, ani ciągłe boje, nie zmieniły natury tego ludu, żył odbierając potężne wrażenie od przyrody, zaludniając bory, przekazującą z pokolenia na pokolenie tradycye wyniesione z dawniejszej ojczyzny, lub śpiewał rytmiczne pieśni swoje.

Mędrcy i kapłani przez wieki wyżłobili w nich pewne pojęcia swych bogów, nadali formy i lud w nich zaczął kostnieć. Na pewne jednak dusze zaciągały mgły zwątpień. Przyswojone opowiadania wędrowców wniknąwszy w pierś ludu wywoływały zwątpienie duszne trwożone.

W tych zamierzchłych wiekach żył stary kneź, mędrzec tego plemienia. On to prowadził szeroki handel, rad — że kupcy wpływali na jego rzekę — że przywozili mu towar obcy, a szczególniej ostre, żelazo, które chętnie nabywał za bursztyn, skóry rozlicznych zwierząt i miody pszczół. Lud jego odtąd bronił się nie krzemienną strzałą, nie maczugą lub procą, nie kamieniem okrągłym, urobionym do szerokiej dłoni, lecz rzymskim grotem osadzonym na młodym dąbczaku, lub mieczem zasłoniętym w walce szeroką tarczą. Lud się rozrodził i lepiej było poskramiać najezdników, tem bardziej, że zbójeckie hordy w wędrówkach na bogaty zachód zaglądały tu coraz częściej. Stary kneź postawił gród — ze świątyń jego buchał dym ofiary składany bogom — w ścianach dędowych budowli czujni stali wartownicy — do koła gromadził się lud, a kneź wyprawiał łowy, zbierał zapasy skór, siedząc pod rozłożystym dębem słuchał grających guślarzy, oczekując następnej wio-

sny i kupców z krain zamorskich a odległych. Zapadał zmrok, kneź siedzi otoczony ludem i słucha śpiewów guślarzy, stare opiewających dzieje i dawne czasy... w pieśniach tych woń nowych myśli, nowych pragnień się rozpływa i wnika w dusze słuchaczy.

W tem wstaje jeden z guślarzy — którego nikt przedtem nie widział. — Zapatrzył się w przestrzeń. — Zaległa cisza... w takiej ciszy ukazuje się pierwszy blask słońcá, w podobnej ciszy oczekuje puszcza uderzenia gromu.

Dotknął strun i zabrzmiała nieznana w tej krainie pieśń — Bóg się rodzi, moc truchleje.

Zadziwieni wszyscy stają. Skąd ten guślarz, nikt go nie zna, co on mówi — co za pieśń śpiewa, wszyscy trwożeni, niespokojni, a kneź podchodzi i pyta głośno:

— Skąd ty jesteś, co to za pieśń?

— Patrzcie kneziu, gdzie wszystkie gwiazdy promieniami wystrzeliły. Tam na wschodzie jakby słońce miało wzejść... Na niebie wielka łuna, a na tęczy niewiasta w gwiazdy uwita i dziecię — Bóg! I zwrócił wzrok ku jasnej stronie nieba.

Porwali się wszyscy, powstał ścisk, a błyski wschodu jak brylanty ogniami się palą. Stary guślarz śpiewa dalej pieśń cichą — nieskończoną...

— Wielki Kneziu, życie wasze bez jutra, w twojej głowie nieraz huczy od smutku... Śmierć powali wszystkich nas, dymy z mogił ulecą po nas, stosy pogasną... rozboje — zgliszcza, mogiły i nędza przyjdzie na lud twój, starych bogów powali wróg, gaje święte najezdnik wyrąbie..,

Kneź sposępniał, drużyna pomarszczyła czoła, w powietrzu przeleciał niby zgrzyt stali o krzemień, a wzrok guślarza rozogniony a smętny spoczął na kneziu.

Kneź westchnął i rzekł: — Myślałem od lat wielu o wszystkiem. — Pytałem się bogów... pytałem się gwiazd... pytałem rozbójnika płonącego na stosie ofiarnym — co w przyszłości będzie... milczeli. — Kiedy słucham łomów lasu wśród burzy, a myśli rozpętam — wzywam domowych bogów, bo niepokoje miotają mną jak liściem jesienne wichury... bogowie milczą.

Guślarz na to rzekł: — W tej pieśni znajdziesz rozwiązanie tej zagadki.

— Tak! — odpowie kneź — ale pieśń twoja, to pożegnanie tej ziemi, to opuszczenie rodzinnych siedzib. — Przy narodzeniu dziecię jeśli ją posłyszy, to przez całe życie aż do mogiły będzie miało oczy wpatrzone w to jasne niebo... oręż wypadnie młodzieńcowi z dłoni... nie będą kneziowie budować zamków, a drudzy przyjdą i taki lud obrócą w niewolników... I teraz zrozumiałem te straszne czasy o jakich przed chwilą opowiadałeś... Więc na to twój Bóg się rodzi, aby mój lud rżnęli jak stado owiec?

— Nie rozumiesz mnie, kneziu. To światło na wschodzie i ta pieśń jest dla wszystkich ludów i pokoleń — ogarnie świat cały od wschodu do zachodu słońca i da ukojenie. Przyjdzie czas, i ty ją zrozumiesz.

— Pieśń twoja jast dla pas zagadką, daj nam klucz do jej rozwiązania.

— Spoczywa on w sercu twoim i każdej jednostki twojego ludu.

— Zaklinam cię mów jasno:

— Kluczem do tej zagadki jest miłość i przebaczenie.

Nastała długa cisza.

W duszę knezia i jego ludu weszła nieznana im dotąd błogość i uradowanie. W sercach ich rodził się Bóg!... Guślarz zniknął.

W opustoszałym i smutnym lesie...

W opustoszałym i smutnym lesie
Wicher o nagie konary trąca,
I w dal się dziwna melodya niesie
Nabrzmiała skargą, żalem łkająca...

Samotna brzoza, jak harfa biała,
Bolesną pieśnią się rozpłakała...
Rozpuszcza włosy, ku ziemi gnie się
W opustoszałym i smutnym lesie...

W zimnego słońca szkarłatnej łunie
Kryształy szronu lśnią, jak rubiny...
Jak krew na leśnych mroków całunie
Błyszczą korale, grom jarzębiny...

Ogromna cisza schodzi na ziemię,
A w niej bezbrzeżna tęsknota drzemie...
Duch melancholii ścieżkami sunie
W zimnego słońca szkarłatnej łunie...

Samotnej gwiazdy drżące spojrzenie
Wślizga się cicho w ponure mroki,
I złotą smugą roztrąca cienie,
Dziwne dokoło siejąc uroki.

Gasną płomienne szronów korale...
Milkną powoli skargi i żale...
Ulgę w tęsknocie i ukojenie
Niesie samotnej gwiazdy spojrzenie...

Nów srebrny lekko po niebie płynie,
Jak łódź mistyczna po wód lazurze!..
I coraz ciszej w leśnej gęstwinie,
I coraz ciszej nad lasem w górze!...

Noc idzie głucha na senną ziemię,
Zdejmuje z ramion trosk ludzkich brzemię...
Zasnęły sioła w mrocznej równinie...
Nów srebrny lekko po niebie płynie.

Róża i słowik.

Baśń perska.

Zestarzał się już bardzo Biały Lotus, król kwiatów... gnuśność co raz większa go opanowywała, rzadko kiedy wydawał rozkazy i sprawował sądy, — pochylał tylko smętnie białą, dużą głowę i pogrążał w rozpamiętywaniu dawno minionych czasów swych rządów, pełnych chwały i znakomitych czynów. ...I tak zagłębiał się w wspomnieniach coraz bardziej i bardziej, zapominając o wszystkiem co go otaczało...

Sprzykrzyło się wreszcie kwiatom zaniedbanie białego Lotusa, coraz to pochylały się ku sobie, szepcąc i wiodąc narady tajemnicze, aż wreszcie poczęły szemrać głośniej i w końcu podniosły bunt otwarty...

...I wzniosły się z ziemi ku Ałłahowi głosy błagalne kwiatów.

— ...O Ałłahu... zmiłuj się nad nami... Biały Lotus zestarzał się już bardzo i rządy jego nie mają już nad nami dawnej siły... Cierpimy na tem srodze, waśń i niezgoda wkradły się między nas... Więc zmiłuj się, o Ałłahu... zeszlij nam króla, któryby mądrze rządził nami miasto Białego Lotusa, bo inaczej grozi nam zagłada«.

Wysłuchał tych błagalnych wołań kwiatów miłosierny Allah i zmiłował się nad niemi... Zabłysła w jego oku łza przeczysta, łza żalu nad niedolą kwiatów; obtarł ją spiesznie palcem i strząsnął na ziemię...

I padła na ziemię łza Allaha, i na miejscu gdzie spoczęła, wystrzelił do góry wspaniały krzew, uwieńczony pękiem przepięknych białych kwiatów, roztaczających w około woń cudowną... Celem zaś zaznaczenia jego wyższości i uczynienia go niedostępnym, abdarzył go Allah obficie kolcami...

Była to — róża...

I zagrzmiał z niebios głos Allaha:

— »Oto macie królowę... młodą piękną i wspaniałą. Pamiętajcie, byście jej we wszystkiem posłuszni byli...

Wielka radość zapanowała wśród państwa kwiatów na widok pięknej królowej... nizko gięły one swe korony, bijąc kornie pokłony monarchini i rozsiewając przytem, jako kadzidła, wonie przecudne dokoła... Ona zaś stała prosta, dumna, biała, niepokalana, przyjmując z godnością należne hołdy...

Na wieść o tem święcie i radości wśród kwiatów, zbiegły się i ptaszki, ich pobratymcy, by pieniami swemi głosić na wsze strony świata cześć i chwałę nowej monarchini...

Z grona ich wysunął się naprzód słowik, niepozorne ptasze, lecz zato najprzedniejszy śpiewak z całej skrzydlatej gromady...

Spojrzał na królowę i serce zabiło mu żywszem tętnem... poczuł przypływ nieznanego mu dotąd uczucia, i z drobnego gardziołka posypała się kaskada przeciągłych treli. Drobna, szara postać jego rosła, olbrzymiała, tony zaś kaskadą biegły, czarując wszystkich naokół...

I śpiewał tak długo, długo w głębokiej ciszy... Kwiaty pochyliły korony, zasłuchane w przecudne pienia; ptaki przysiadły gromadą, by pieśni nie przerywać...

Skończył wreszcie wdzięczny śpiewak swoje urocze pienia, natchnione miłością głęboką i spojrzał na różę...

Ona zaś, ta niepokolana i dumna, z pogardą prawie patrząca na szarego, niepozornego śpiewaka, pod wpływem przecudnych tonów jego ,pieśni, poczuła budzące się w sobie jakieś nieznane uczucie, słodkie i pełne rozkoszy, przed którem wstrząsła się cała mimowoli... Spostrzegł to słowik, i pchnięty rosnącą coraz więcej miłością, szybko zbliżył się, by przycisnąć ukochaną do silnie bijącego serca...

Lecz cóżto, zaledwie objął ją skrzydełkiem, ciągnąc dalej słodki hymn miłości, gdy kolec, ukryty zdradziecko wśród liści, przebił mu serce i boski piewca, z ostatniemi tonami pieśni, z której już przebijał ból i żałość niezmierna, legł martwy u stóp pięknego kwiatu...

Smutnie pochyliła dumną koronę róża, a strumień krwi purpurowej słowika oblał jej niepokalanie białą i czystą koronę...

I odtąd róża, ta najwspanialsza królowa kwiatów, twór Allaha, pochodzący od łzy jego, stała się purpurową, jak krew...

Złote ziarna.

O bodaj to mieć młode, czyste jeszcze serce! To jak muszla z dalekiego morza. W niej każda rana perłą; w niem każdy niepokój ideałem — rzuć garść błota do takiego serca, po jednej marzeń godzinie będziesz miał błoto w dyament skrystalone.

Madonna.

Z blaskami zróżowionych zórz
Prze bruzdy złotych idzie zbórz,
I łan Jej chyli się w sam pas,
I gędźbi szumnych głosów las.

I ciszę z sinych zbiera hal,
I składa na serc ludzkich żal,
I niesie miodne leki z pól
Na łzy, tęsknotę i na ból.

I jasną swoją chyli skroń
Nad każdą pracującą dłoń,
By lżej wrzecionem było wić
Cieniuchną, długą życia nić.

Pacholąt główki kryje w cień
Pod płaszcz kwiatowych pełen tchnień,
Co do Jej drobnych spływa nóg
Falami złoto-włosych strug.

I lekkiem poruszeniem rąk
Na strunach gra szumiących łąk
Pieśń smutnych, a milczących dusz,
Którym nie wolno śpiewać już.

A białych chat żegnając próg —
Rozświeca ścieżki błędnych dróg
Wygnańcom z rodzicielskich gniazd;
W owieji złotych płynąc gwiazd!

Winogrona jako lekarstwo.

Owoc winnego szczepu zajmuje w świecie roślinnym wybitne stanowisko; jest on jednym z owoców, które na ustrój działają nietylko orzeźwiająco, ale i pożywienie mu dają, a nadto — w chorobach różnych — lekarstwo. Podobnie jak inne soki owocowe działa sok winogron przeczyszczająco na ustrój ludzki, pomagając przyrodzie wydalać z ciała ludzkiego nagromadzone w niem szkodliwe ciała obce, powodujące właśnie choroby.

Obecna pora owocowa nadaje się u nas szczególnie do przeprowadzania kuracyi winogronowych. Kuracye takie znane już były w starożytności; Celsus i Galenus wspominają winogrona jako środek leczniczy, a Hipokrates sok jagody winnej zalecał także zewnętrznie przy chorobach oczu. W naszym wieku rozpowszechniły się kuracye winogronowe dzięki popędowi, jaki dali lekarze szwajcarscy, a około roku pięćdziesiątego zaczęto urządzać w Tyrolu stacye do kuracyi winogronowych (najsłynniejsza w Meranie.)

Do kuracyi używać należy wielkich, słodkich jagód. Jagody takie zawierają dużo cukru gronowego — cukier ten, jak wiadomo, potrzebnym jest do odżywiania ciała ludzkiego, że zaś jagoda winna zawiera go właśnie w stanie takim, że od razu z żołądka przechodzi w krew, jasnem jest, iż spożywając winogrona daje się osłabionemu ciału w sposób wygodny pożywienie. Inne węglowodany zamienia nasamprzód ślina ust na dekstrynę, a sok żołądka i kiszek dopiero na cukier gronowy.

Drugim ważnym składnikiem pożywnym winnej jagody jest wodnik potasowy (kali), przeciągający w czasie trawienia szkodliwe kwasy, n. p. moczowy, wydzielające się następnie z moczem. Nadmienimy jeszcze tylko pokrótce, że winogrona zawierają także

składniki, potrzebne do tworzenia kości i nerwów, tj. wapno i fosfor, dalej białko, kwas garbnikowy (w jądrach) itp.

Z krótkiego poglądu tego będzie zrozumiałem, że owoc, zawierający rozliczne części potrzebne do budowy ciała, do utrzymania krwi w właściwym stanie (kali) itd., znakomite może oddawać usługi w różnych chorobach, dopomagając energicznie przyrodzie. Mówimy wyraźnie, dopomagając, gdyż same winogrona oczywiście nie mogą przywrócić zdrowia, jeśli przytem człowiek nie zważa na zasady hygieny, na dyetę i nie stosuje odpowiednich wobec choroby środków, jak kuracyi słonecznej, powietrznej i wodnej.

Zważać na to szczególnie trzeba z tego względu, że można i winogronami, podobnie jak czem innem, przeciążyć żołądek, a wtedy choremu częstokroć więcej zaszkodzić, niż dopomódz może kuracya. Nigdy, jak się czasem dzieje, nie powinien chory spożywać 6—10 funtów winogron dziennie; jest to bezwarunkowo na żołądek chorego człowieka za dużo. Pół do półtora funtu dziennie spożyte dadzą zwykle ciału dostateczną ilość soku winnego. Jedynie nerwowym osobom można dawać czasem większe ilości, jeżeli przytem dostatecznie używają ruchu i wogóle uważają na to, by czynność żołądka jak najwięcej pobudzać.

W chorobach nerwowych właśnie daje jagoda winna znakomite usługi, bądź to, że pochodzą ze zbytniego podraźnienienia nerwów pracą umysłową, cierpieniem ducha lub podobnie — bądźteż z mechanicznych powodów, wskutek zbytniego siedzenia przy pracy itd., z czego wytwarzają się cierpienia żołądka i zaburzenia obiegu krwi, a dalej rozliczne cierpienia nerwowe.

Jasnem jest, że używając kuracyi winogronowej w chorobach takich, koniecznem jest, by w dyecie przestrzegać m. i. ściśle wstrzymywania się od potraw mięsnych.

To samo odnosi się do chorób żołądka i kiszek, wymagających również tylko dyety roślinnej, która i w innych razach jest pożądaną.

Kuracyę winogronową można stosować jeszcze z dobrym skutkiem w chorobach gardła i płuc, zapaleniach, nieżytach itp., przy cierpieniach serca, zaburzeniach obiegu krwi, a zatem przy krwawnicach (hemoroidach) itd., w chorobach nerek i pęcherza (kamienie nerkowe, nieżyty pęcherza, pochwy), przy zaburzeniach w odżywianiu (blednicy, tyłowitości, krzywicy czyli angielskiej chorobie, skrofułach, wyrzutach różnych), wreszcie w chorobach stawowych (gośccach i przewlekłych reumatyzmach).

Zaznaczyć należy w końcu, że spożywać można winogrona wraz z jądrami i łupinką, gdyż pod skórką właśnie znajduje się kwas garbnikowy, krzepiący mięśnie żołądka i kiszek, a jąderka (pogryzione!) działają pobudzająco na ruch robaczkowy kiszek, będący uzupełnieniem trawienia żołądka.

Rozumie się, iż skutki wyżej wspomniane osiąga się tylko winogronami, a nie — jak by ktoś może przypuszczał, sztucznie wyrobionym alkoholicznym napojem, zwanym winem.



Wesoły kącik.

Kuzyni.

Dama do młodego człowieka: — Często słyszę, jak pan, panie Janie, z panem Bolesławem nazywacie się kuzynkami. Jakież pokrewieństwo was łączy? Ja, proszę pani, nazywam się Kozłowski, a on — Baranowski.

Czy tak, czy tak...

— Wezmę wszystko, co mi pozostało i pojadę do Monaco... Jeżeli wygram, będę się mógł ożenić, jeżeli przegram, będę się musiał ożenić...

W sądzie.

— Panie sędzio — rzecze złodziej — nie jestem tak zły, jak okoliczność sądzić każe. Niech mi pan sędzia da tylko trochę czasu na skruchę. — Dobrze, odparł sędzia i dał mu pół roku więzienia.

Między młodą parą.

— Wiem, że mnie twój ojciec z domu wyrzuci, bom poeta, jutro jednak wybiorę się prosić go o twoją rękę.

— O której godzinie przyjdziesz?

— Rano!

— Dlaczego rano, najdroższy?

— Bo wtedy rodzic twój ma na nogach — miękkie pantofle.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z nr. 33-go:

Eliza Orzeszkowa.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Drewniak z Dąbrowy Górnej, Józef Knopp z St. Zabrza, Jadwiga Badura z Roździenia, Ryszard Bodynek z Świętochłowic, Jan Szulc z Poznania, Andrzej Piecuch z Bruch, Paweł Słomiany z Nowej wsi, Jan Szyja z Chropaczowie, Wiktor Gałonska z Gliwic, Walenty Przybyła z Zawodzia.

Nagroda przypadła p. Janowi Szyji w Chropaczowie.

Łamigłówka sylabowa.

Dy—dy—kaj—ga—go—ki—lo—na—czyk—in—sław—sa—or—wła.

Z powyższych sylab ułożyć 5 wyrazów, których początkowe litery usworzą nazwę miasta na Wilją, a litery końcowe, czytane z dołu do góry dadzą nazwę miasta nad rzeką Dnieprem.

Znaczenie wyrazów:

1) Imię męzkie, 2) Barwnik, 3) Sługa, 4) Miasto w Japonii, 5) część wozu.

Nakładem i czcionkami »Górnoślązaka«, spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością w Katowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Antoni Wolski w Katowicach.